ŚWIAT

Nr. 26
26. VI. 1937.
CENA 1 ZŁ.



Zofja Grabowska z talentem gra rolę Monny Sancii Sforzy w sztuce Nowaczyńskiego „CEZAR i CZŁOWIEK", granej z wielkiem powodzeniem w Teatrze Polskim w Warszawie (Fot. St. Brzozowski)

w numerze:

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXII Nr 26 26. VI. 1937

L. CHRZANOWSKI

RZEŹNIA KATÓW

Nie mamy powodu roztkliwiać się nad losem marszałka Tuchaczewskiego i towarzyszy. Nie mamy powodu do łez humanitarnego rozczulenia z powodu obecnych, dawnych i przyszłych rozstrzeliwań w Sowietach — podczas których giną niedawni władcy — kierownicy i siepacze z G. P. U.

Dzierżyński czy Jagoda, Jagoda czy Jegorow — to wszystko jedno, każdy z nich ma na swym rachunku, bo nie na sumieniu —(sumienia oprawcy więźniów politycznych, zimni mordercy z kazamat czrezwyczajki nie mieli i nie mają!)—każdy z nich na swym rachunku ma setki, tysiące pomordowanych, umęczonych istnień ludzkich. Dziś ich samych ten los spotyka.

Katów mordują, rozstrzeliwują inni kaci!

Ale nietylko rozstrzeliwują. Bezczeszczą i hańbą okrywają na cały świat i na wieki. Kto idzie „pod stienkę" sowiecką? „Szpiegowie" i „zdrajcy" wydający lud obcym państwom, „wrogowie ludu", oszukujący go, okradający, zdradzający!

Najwyższa władza armji i jej twórca— Trockij od roku 1927 jest zdrajcą i wrogiem ludu. Marszałek Tuchaczewski w roku 1937 okazał się szpiegiem i zdrajcą. Zinowjew i Kamieniew, Karachan i Rykow, Piatakow i Radek, Sokolnikow i Rakowski, Bucharin i Rozenberg— to wszystko zdrajcy ludu.

Cóż to za lud co przez tyle lat dał tym zdrajcom rządzić sobą! Cóż to za państwo, w którym władzę tyle lat mieli szpiedzy! Cóż to za ideologja, która tylko największych zbrodniarzy dopuszcza do władzy?!

Bo czyż może być większe przestępstwo wobec narodu i państwa jak szpiegostwo i zdrada?

A któż temu ludowi da gwarancje, że dziś i nadal nie rządzą nim *inni* szpiegowie i zdrajcy? Kto dwa lata temu mógłby uwierzyć, że „bohaterski" Tuchaczewski, to szpieg. A kto dziś poważyłby się głośno w Sowietach napisać, że Jegorow, Woroszyłow, Blücher czy Budienny to „wściekły i podły pies", plugawy zdrajca ludu? Nikt. A może za miesiąc, za dwa, za dziesięć wydrukuje takie określenie oficjalna „Prawda" czy Izwiestja. W tym jest największa potworność mordowania i rzezi wzajemnej sowieckich katów!

Zaczęli od zamordowania wolności i swobody ludu, tego ludu który mają ciągle na ustach. W krwi i błocie unurzali ideały demokracji, byle zdobyć władzę, a teraz w imię posiadania tej władzy mordują się wzajemnie.

Czyż można mówić o ideologji państwa, którego najwięksi dygnitarze *przyznają się do szpiegostwa* i są traceni jako agenci hitlerowscy lub japońscy? Zinowjew, Kamieniew, Rozenberg, Piatakow, Ostrowski, Gamarnik — ideologowie komunizmu, III-ej Międzynarodówki — szpiedzy niemieccy. Sokolnikow, Serebrjakow, Tuchaczewski, Jakir — szpiedzy i ajenci Niemiec i Japonji.

Takie oficjalne etykiety przylepiono tym wodzom, ideologom, rozstrzeliwując ich bez pardonu.

Ale miesiąc temu, tydzień, rok— lud sowiecki im wierzył, słuchał ich, mógł dla nich mordować, mógł przez nich być prowadzony na wojnę lub na barykady.

Tak jak dziś jeszcze słucha Woroszyłowa, Jegorowa, leżąc plackiem przed Stalinem. A jutro? Kto jutro okaże się szpiegiem? Bo po egzekucji szpiega — marszałka, po egzekucji Tuchaczewskiego, od każdego można oczekiwać zdrady.

W tym mieści się sedno egzekucji sowieckich. Bo dziś w sowietach można śmiało, bez obawy omyłki mówić, że nie jakakolwiek ideologja trzyma je, lecz żądza władzy i metoda terroru tej lub innej grupy zdrajców ludu i szpiegów, jest najpewniejszą więzią państwową. Podstawowe zasady demokracji zostały oddawna w Sowietach podeptane. Wybory, obrady, *kontrola* nie istnieją. Rządzi natomiast terror, służalstwo, katownie i bezkarność.

To są rzeczy znane, wiemy o tym oddawna, ale nauka ostatnich tygodni jest specjalnie jaskrawa.

Z tego stanu rzeczy wypływa tylko wielka prawda dla wszystkich państw świata. Dla wszystkich reżymów, gdzie „ludy" są tak podobno gnębione. Wara wysłannikom sowietów występować i podawać się w Europie, Ameryce czy gdziekolwiek indziej za reprezentantów wolności i swobody ludu. Za budowniczych sprawiedliwego i nowego ładu. Po dwudziestu latach władzy, dzięki swej ideologji i metodzie władzy stworzyli państwo i reżym, gdzie miesiącami i latami rządzą ludem szpiedzy i zdrajcy. Wykrywają się te przestępstwa stale — ogłaszają o nich komunikaty oficjalne.

Więc niechże tego państwowego towaru nie zachwalają nigdzie bezkarnie sowieccy agenci i niech państwa „zgniłego zachodu" zdobędą się na męski czyn, ukrócenia skutecznego tej propagandy... zdrajców ludu!

Z WIDOWNI POLITYCZNEJ



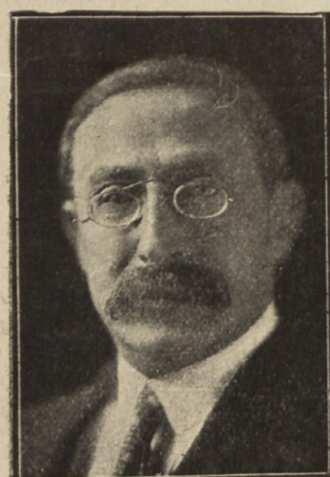
Zdjęcie powyżej: marsz. Śmigły-Rydz wziął udział w zjeździe Młodej Wsi w Warszawie i przyjął godność Ojca Chrzestnego Sztandaru Młodej Wsi

Zdjęcie poniżej: grupa uczestniczek zjazdu wiejskiego w strojach regionalnych ze Śląska.



Król Rumunji, Karol II, przybywa do Polski, rewizytując p. prezydenta i podkreślając doniosłość sojuszu polsko-rumuńskiego





Leon Blum, premier rządu Frontu Ludowego we Francji, obalony został przez Senat francuski.



Zmarł Gaston Doumergue, b. prezydent Republiki Francuskiej, niezmiernie ceniony przez wszystkie odłamy polityczne Francji, i cieszący się szeroką popularnością wśród francuzów, którzy mu z racji pogodnego usposobienia nadali pieszczotliwe zdrobniałe imię „Gastounet".

POŁÓW PEREŁ

Made in USA

Czytamy w amerykańskiem piśmie takie ogłoszenie:

„Jak się pani zachowuje będąc sam na sam z mężczyzną? Czy umie pani nosić suknię stylową? Paryż stworzył w tym sezonie nowy styl sukien dla prawdziwych dam. Trzeba się umieć w nich poruszać. Tych oraz innych niezbędnych kobiecie wiadomości nabędzie pani u Margery Wilson. Nauczy ona panią: siedzenia z gracją w fotelu lub w aucie. Wchodzenia z wdziękiem do pokoju. Czarującego przyjmowania filiżanki herbaty. Swobodnej konwersacji i spontanicznego dowcipu. A także — rzeczy najważniejszej — trwałego zwrócenia na siebie uwagi mężczyzn. Kurs przez korespondencję".

Druga dama tak znowu zachęca do swojej szkoły — (a dama jest niebylekim — bo aż „dyrektorką Międzynarodowego Instytutu Wdzięku"):

„Naucz się, co robić, żeby być pociągającą dla mężczyzn. Kobiecie nie wystarcza być piękną i utalentowaną, aby osiągnąć powodzenie życiowe. Ja panią w kilka dni nauczę, jakimi sposobami może pani wznieść się wyżej w karjerze życiowej. Jak robić dodatnie wrażenie, jak sprawić na kimś pierwsze wrażenie niezapomniane. Jak się zachować w towarzystwie, jak osiągnąć wdzięk i urok towarzyski. Jak telefonować swe zaproszenia na obiad lub do teatru. Jak zmusić mężczyznę, aby się panią zainteresował na serjo. Tego wszystkiego uczy moja książka „Tryumfująca kobieta".

Czytając te kuszące obietnice w luksusowem piśmie kobiecem, wydawanem w Stanach Zjednoczonych, myślimy sobie narazie: szarlatanki... „Bujają gościa" tak jak u nas „jasnowidki" i wróżki. „Nabijają w butelkę".

Po chwili przychodzi refleksja: jednak im się ten métier opłaca. Ogłoszenia w tem wydawnictwie płacone są na wagę złota. Widocznie „szkoła wdzięku" prosperuje, skoro może tyle wydawać na reklamę. A jeżeli prosperuje, to chyba znaczy, że jednak daje swym uczennicom jakieś konkretne korzyści?

Jakie?



Bo rzeczywiście można nawet zupełnego prymitywa nauczyć zręcznie siadać w aucie, lub z gracją przyjąć z rąk pani domu filiżankę herbaty. Ale co robi pani Wilson i ta druga pani Marston, żeby nauczyć kogoś SPONTANICZNEGO DOWCIPU? Czem te panie gwarantują uczennicom NIEZAPOMNIANE PIERWSZE WRAŻENIE? Jak zmuszają mężczyzn, aby się temi ich pupilkami ZAINTERESOWALI NA SERJO?

Myśleliśmy dotąd, w swej zacofanej europejskiej naiwności, że te rzeczy stanowią tajemnice poszczególnych indywidualności kobiecych. Że zależą trochę od wrażliwości kobiety, od jej inteligencji, wrodzonego uroku, dobroci, urody, wreszcie od niezbadanego czynnika, jakim jest wzajemne oddziaływanie dwu osób na siebie — oddziaływanie zarówno psychiczne jak fizyczne.

Byliśmy w błędzie. Wszystko polegało na nieporozumieniu.

Zapisujcie się, na miłość boską, czemprędzej, na kursy pani Marston!

Uczcie się standaryzowanego sposobu ROBIENIA NIEZAPOMNIANEGO WRAŻENIA!

A możeby która z naszych zdeklasowanych a pomysłowych pań założyła taki „Instytut Wdzięku" w Polsce?

Sukces wydaje mi się murowany.

Cała ulica Bielańska stawi się jak jeden mąż. A raczej jak jedna niewiasta.

„Gelegenheit macht Dieb"

Sposobność robi człowieka złodziejem. Słusznie to mówią niemcy. Tych „sposobności" zostawia się u nas za wiele różnym mniejszym i większym dygnitarzętom, stojącym blizko kas publicznych. Fantastyczne defraudacje w Związku Zawodowym Kolejarzy są tego jaskrawym dowodem. Żerując na zapomogach pośmiertnych dla członków swego Związku, hjeny, których nazwiska brzmią Frencel, Miecznikowski i Doroz, rozkradły przeszło sto tysięcy złotych. Kradzieże trwały szereg lat. Brak kontroli ułatwiał je znakomicie. Warto przytem zaznaczyć, że Doroz stale bywał pijany i namiętnie zgrywał się na wyścigach, a Frencel był już poprzednio karany za defraudacje.

I takim właśnie ludziom ufano.

Takim dawano wszelkie możliwości popełniania kradzieży.

Kult przeszłości

Warszawa ma tak mało zabytków architektonicznych... I, jak się okazuje, pozwala na ich bezmyślne niszczenie. Czytamy w „Gońcu Warszawskim", że tolerowano dotychczas w piwnicy najstarszego domu zabytkowego na Starem Mieście — istnienie kwaszarni kapusty! Wydzielające się latami kwasy rozłożyły wiązania wapienne ścian — i dom poprostu grozi dziś zawaleniem.

To się nazywa „ochrona zabytków", gdyby kto miał wątpliwości.

Niezawodny sposób

„Candide" podaje najświeższą anegdotkę, krążącą po Berlinie.

Goebbels i Goering siedzieli razem w samolocie, unoszącym się nad stolicą Rzeszy. W pewnej chwili Goebbels zapytał:

— Czy nie uważasz, że atmosfera jest w tej chwili bardzo niepewna?

— Tak, odpowiedział Goering — naród wydaje się niezadowolony.

— Jak myślisz, czemby go można ugłaskać?

Goering zastanowił się chwilę i rzekł:

— Goebbels, powiedz najpierw, co tybyś proponował.

— O, to bardzo proste: otwórz okno i skocz natychmiast w dół.

„To zupełnie inna kwestja"

Istnieje świetna satyra Rodocia pod tym tytułem. Przypomniała mi się nagle przy czytaniu sprawozdania z parlamentu francuskiego. Właśnie wałkowano sprawę zniesienia napiwków dla kelnerów. Sprawę referował poseł komunistyczny, Mercier, który przez długie lata sam był kelnerem.

Wychodził on z założenia, przypuszczają państwo, że napiwek uchybia godności człowieka?

Spokojnie, spokojnie... Trzeba umieć rozróżniać. Są w tej kwestji pewne niuanse. Pan ex-kelner wyłożył parlamentowi jak na dłoni, że kelnerowi oczywiście ubliża napiwek, kiedy ten napiwek jest traktowany jako jego jedyny zarobek. Rzecz się ma jednak zgoła inaczej, kiedy ten napiwek kelner otrzymuje jako naddatek do stałego wynagrodzenia. Wtedy mu już podobno nie ubliża...

Drugi komunistyczny poseł, pan Ramette, był zupełnie tego samego zdania.

Gdzie znana francuska jasność myśli? Gdzie logika?

Nic na to nie poradzę. Godność bywa widać rozmaita.

Kupili niedrogo

W korespondencji własnej z Mińska Mazowieckiego „Goniec Warszawski podaje wcale efektowną wiadomość. Oto sprzedano tam niedawno za 750 złotych budynek starej cerkwi prawosławnej, którą przerabiano na gmach wydziału powiatowego. W „przeróbkę" włożono już jakoby 30 tysięcy.

Nowonabywca, który tak niedrogo „kupił" napół przerobioną cerkiew, odprzedał ją zaraz komu innemu z zyskiem, a ów inny zrobił wręcz kokosy na sprzedaży materjału z rozbiórki. Wziął za samą cegłę kilka tysięcy złotych, oddzielnie sprzedawał marmury, posadzki, etc., samego żelaza wywiózł kilka wagonów. A z materjału poślednieszego wybudowano w Mińsku kilka kamienic. Część materjału kupił nawet jakoby... wydział powiatowy, płacąc za niego 3500 złotych.

Jeśli to wszystko jest prawdą — to sprawa pachnie o milę skandalem i kryminałem...

Amerykański detektyw

Wiadomo z filmów, że taki jegomość — to szatański spryt i spostrzegawczość we własnej osobie. Okazuje się, że owszem — ale na terenie Ameryki. Polski kanciarz natomiast potrafi sobie poradzić z amerykańskim detektywem, jak z niemowlęciem. Oto przykład:

Polak amerykański, pan Siwko, z zawodu detektyw, przyjechał do Warszawy, do rodziny. W ciągu godziny, zaraz po opuszczeniu wagonu, kanciarze warszawscy nabrali go dotkliwie trzykrotnie. Na ławce w Saskim ogrodzie sprzedano mu „carskie brylanty" po okazyjnej cenie, za 400 dolarów, ale żywą gotówką. Szkoda tych dolarów...

W bufecie na Dworcu Głównym spotkał nieznanego przedtem „siostrzeńca", który go bardzo pokochał — i wyciągnął mu portfel zawierający banknotów i kosztowności na kilka tysięcy złotych.

A pewien sympatyczny młodzian, któremu pozostawił pod opieką swoje walizy — zdematerjalizował się błyskawicznie, razem z walizami.

Bilans jednego dnia na łonie ojczyzny?

Conajmniej 10 tysięcy do zapisania na straty.

Choć może to nie są straty? Nazwijmy to raczej — kosztami dokształcenia zawodowego.

Po polsku — popularnie t. zw. frycowe.

Jeszcze o tym ślubie

Ciągle napływają nowe szczególiki, związane z najromantyczniejszym ślubem wieku XX-go. Najzabawniejsze, jak zwykle kawały zdarzały się prasie. Po swym ślubie Edward Windsor zgodził się udzielić audjencji kilku wybitnym dziennikarzom. O czem z nimi mówił? Przypuszczać wolno, że o pogodzie?



Nie, nawet znacznie mniej.

Sekretarz księcia przedstawiał kolejno każdego z dziennikarzy, książę uprzejmie podawał rękę i pytał stereotypowo: „How do you do?"

Dziennikarz odpowiadał jak mu kazano, tylko jedno słowo— „Dziękuję" i zaraz ustępował miejsca następnemu.

Po tak sensacyjnej „rozmowie" jeden z dziennikarzy francuskich podał do wiadomości swoich czytelników, że pod tytułem: „Zwierzenia reportera" wygłosi przez radjo konferencję na temat— „Jak składałem moje życzenia księciu Windsoru".

Bajeczka jakich wiele

Był sobie pewien defraudant. Nazywał się Lucjan Góralczyk. Pracował w warszawskim oddziale rafinerji nafty. I kradł. Kiedy nakradł 70 tysięcy — firma nareszcie spostrzegła co się święci.

Sprawa sądowa. Bardzo nawet interesująca. Defraudant, jak się dowiedziano, bardzo był uprzejmy dla żony swego zwierzchnika, pana Kropaczka. Ofiarował jej np. luksusowe auto... Czyż zwierzchnik mógł być zbyt rygorystyczny wobec tak dobrze wychowanego podwładnego?

Podwładny hulał, hulał, aż się przysłowiowe ucho od dzbana urwało.

Sąd wydał wyrok skazujący go na 2 i pół roku więzienia. Po zastosowaniu amnestji Góralczyk odsiedzi zaledwie rok.

70 tysięcy... Rok więzienia...

Lekko zarobione pieniądze. Defraudacja — to rzeczywiście lukratywny fach.

Dziadostwo

Nie można tego nazwać inaczej. Ku wstydowi całej Polski dowiedzieliśmy się z prasy, że jakiś pożal się Boże, lekarz ze Stanisławowa zrobił gest dziadowski: wyciągnął łapę.

I to dokąd? Zagranicę.

Napisał do księcia Windsoru, że jest w biedzie i nie ma się za co ożenić. Książę ma miękkie serce — przysłał żebraczynie sto funtów.

Ale co sobie pomyślał o polskich lekarzach — tego w naszych gazetach nie było...

Czy związek lekarzy nie zainteresowałby się tak pomysłowym kolegą?

Uparty nurek.

ŁOWIECTWO W SZTUCE POLSKIEJ



Chełmońsk Józef (1849—1914) w. l. p. Stefan Dziewulski. Kuropatwy (olej)

Wystawa zorganizowana obecnie w Zachęcie ma ściśle określony temat: łowiectwo w naszej sztuce ostatnich lat 70-ciu. Pomyślano ją stosując przedewszystkiem kryterja zainteresowań łowieckich, odsuwając zaś na plan bardzo daleki kryterja i metody naprawdę artystyczne. Dość powiedzieć chociażby, że w jury konkursowem na siedmiu członków zasiada zaledwie dwu artystów — reszta zaś to może zamiłowani nemrodzi, twórczością plastyczną jednak nie parający się wcale.

W tym duchu jest cała wystawa. Trudno ją przeto omawiać rzeczowo z punktu widzenia ściśle artystycznego.

Część retrospektywna, w której reprezentowani są malarze wieku XIX poczynając od Suchodolskiego, Brodowskiego, Juljusza Kossaka, Kostrzewskiego, Andriollego, Brandta, Chełmońskiego, M. Gierymskiego, Fałata, i wielu innych — nie daje pełnego obrazu twórczości polskiej w tej dziedzinie — i wcale o to nie pretenduje. Sięgnięto przeważnie do Zbiorów Tow. Zachęty, do Zbiorów Państwowych i do kilku kolekcji prywatnych w Warszawie. Są to naogół dzieła dobrze znane, niektóre z nich zresztą spotka się zawsze z jednakowym sentymentem, choćby np. słynne „Kuropatwy" Chełmońskiego, albo Gierymskiego „Polowanie w lesie". Króluje w dziale retrospektywnym Fałat — nietylko dlatego że wystawiono dzieł jego najwięcej — (około dwudziestu)— ale przedewszystkiem dla walorów malarskich tych dzieł, wspaniałej techniki akwarelowej i mistrzowskiej swobody pędzla. Niestety, zamiast zgromadzić, jak się o to domagamy od lat, wszystkie prace jednego artysty obok siebie — porozwieszano je po wszystkich salach po trochu, stąd wrażenie bardzo niejednolite i jeśli chodzi o stronę dydaktyczną — chybione.

Jest rzeczą oczywistą, że wystawa tą metodą organizowana nie może mieć dla publiczności znaczenia kształcącego. Jeśli widz uważnie przestudjuje wystawę określonej epoki, szkoły czy mistrza — wychodzi bogatszy o całą gamę wrażeń jednolitych, rozwijających jego umiejętność patrzenia na dzieło sztuki, a tem samem pogłębiających jego kulturę artystyczną. Na takich wystawach, niezależnie od bezwzględnej wartości samych dzieł, widz się kształci, bo ma sposobność porównywania epok, szkół, technik i indywidualności. Tam zaś gdzie, jak na obecnej wystawie łowieckiej, artyści reprezentowani są przeważnie jednem lub dwoma dziełami, a całość podporządkowana jest tematowi — widz, o ile sam nie jest myśliwym — nie wynosi właściwie żadnych korzyści i, powiedzmy szczerze, bardzo niewiele przyjemności.

Być może zresztą, że pod tym względem się mylę. Łowiectwo jest sportem w Polsce nader popularnym — może więc temat wystawy przyciągnie szerokie rzesze tych, których inaczej trudnoby wogóle sztuką zainteresować. Ale naprawdę niczem wytłumaczyć się nie da chaotycznego rozmieszczenia dzieł. Tylko tem jednem może: obowiązującą potrawą na polowaniach jest przecież bigos myśliwski...

Z. Norblin-Chrzanowska.



J. Fałat (1853—1929) *Polowanie na niedźwiedzia*



Brodowski Józef (1828—1900) *wł. p. M. Karżewski* *Bigos myśliwski (olej)*



Gierymski Maksymilian (1846—1874) *wł. Zbiory Tow. Zachęty Sztuk Pięknych* *Polowanie w lesie (olej)*

J. KRZESŁAWSKI

KWESTJA PROWOKACJI W LITERATURZE I PUBLICYSTYCE

W ostatnich latach dużo prac poświęcono sprawie prowokacji, która w swoim czasie, gdy wykryto aferę Azefa, tak burzyła opinję europejską, a zwłaszcza naszą. Do zainteresowania nią ogółu przyczynili się zamieszkali od lat wielu na emigracji, gdzie udało się im schronić przed rewolucją 1917 roku swe głowy, dawni szefowie ochrany rosyjskiej. Aż trzech byłych dygnitarzy wydało za granicą swe książki: Zawarin, Wasiljew i Gierasimow. Pierwszy z nich pisze po rosyjsku („Rabota tajnoj policji", a w parę lat później „Żandarmi i rewolucjoniery"), Wasiljew — po niemiecku (Ochrana-aus den Papieren des letzten russischen Polizeidirektors), Gierasimow — po francusku (Tsarisme et terrorisme).

Przypuszczać należy, że ciężkie położenie materjalne, w jakiem się znalazło na emigracji wielu ludzi, niegdyś posiadających wielkie pensje i ogromne fundusze dyspozycyjne, skłoniło ich do publicznych zwierzeń. Oni sami zapewniają, że kierowała nimi chęć rehabilitowania rządu carskiego, a, co za tem idzie, ich własnej działalności w oczach szerokiego ogółu.

Autorzy tych dzieł apologetycznych (a w szczególności Zawarin i Wasiljew, gdyż książka Gierasimowa ma nieco inny charakter i jest obliczona raczej na polityczną sensację) usiłują przekonać szeroki ogół, iż to, co zwykle nazywają prowokacją w popularnem znaczeniu tego słowa, nadanem mu przez rewolucjonistów, nie jest bynajmniej prowokacją. Ich zdaniem, należy bezwarunkowo odróżnić system wkręcania przez policję własnych agentów do szeregów partji rewolucyjnej, aby wiedzieć, co się w niej dzieje, od wywoływania za pośrednictwem tych agentów czynów, karanych przez prawo, jak np. aktów teroru indywidualnego, czy zbiorowego, ekspropiacyj, zakładania tajnej drukarni i t. p. Pierwsza forma działalności — posiadanie na wszystkich szczeblach organizacji rewolucyjnej „tajnych współpracowników" (siekretnych sotrudnikow) ochrany — uważane jest przez Zawarina i Wasiljewa za niezbędną konieczność. Żaden rząd konserwatywny, liberalny czy rewolucyjny — ich zdaniem — bez podobnych „współpracowników" obejść się nie może, gdyż w przeciwnym razie mógłby być przez działalność partji rewolucyjnej zaskoczony (stosunek rządu komunistycznego do tak zwanych „kontrrewolucjonistów", potwierdza, według ich mniemania, ów punkt widzenia).

Zupełnie inaczej rzecz się przedstawia, gdy agent, zdobywszy zaufanie rewolucjonistów, namawia



Azef, według fotografii paryskiego „Matin'a"

ich do popełnienia pewnego czynu, grożącego surowemi karami i mogącego złamać wiele egzystencyj ludzkich, aby, posiadając wszystkie sprężyny, wydać wszystkich w chwili akcji lub bezpośrednio po akcji w ręce policji. Rząd i jego agenci występowaliby w takim razie w charakterze inicjatorów tego, co uważają za zbrodnię, a śmierć ludzi z ich obozu, będąca wynikiem udanej akcji terorystycznej, obciążyłaby ich sumienia. Rząd uzyskałby sposobność do zniszczenia organizacji rewolucyjnej i wyłowienia wszystkich jej uczestników, ale nikt nie powróciłby życia tym, którzy je utracili przy tak ryzykownym eksperymencie.

I Zawarin, który poprzedza swe wywody bardzo długiemi i nieszczególnie świadczącemi o jego talencie literackim opowiadaniami o regulaminie dla tak zwanych „fileur'ów", t. j. szpiegów ulicznych i dla tajnych współpracowników, i Wasiljew, kategorycznie twierdzą, że ochrana rosyjska działała zawsze w ramach praw obowiązujących i jej postępowanie było lojalne. Na dowód tego Wasiljew przytacza kilka przykładów ukarania urzędników za stosowanie systemu prowokacji — oczywiście prowokacji w bezspornem i niewątpliwem znaczeniu tego słowa. Tak np. w Jekaterynosławiu w r. 1906 szef miejscowej ochrany sam drukował rewolucyjne ulotki, co udało się wykryć dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Wielu ludzi uratowano po wykryciu tej afery od niechybnej zguby, a szef ochrany jekaterynosławskiej otrzymał dymisję. W innym wypadku szef żandarmerji kolejowej na krańcach Dalekiego Wschodu zamierzał wysadzić w powietrze za pomocą zamachu dynamitowego klub rewolucjonistów rosyjskich w Tokjo, co zostało jakoby zakazane przez Wasiljewa, uważającego, że rząd nie powinien stosować metod terorystycznych, za które przeciwnicy rządu są skazywani na katorgę.

Czytelnik, o ile jest obeznany z dziejami rewolucji rosyjskiej, z niedowierzaniem odczytuje wynurzenia „wilków", zamienionych tak szybko w „jagnięta" na paryskim czy berlińskim emigranckim bruku. Wystarczy przeczytać, co Witte, który znał dobrze kulisy działania urzędowych sfer rosyjskich, pisał w swych pamiętnikach o próbach wysadzenia w powietrze jego domu w czasie, gdy zajmował bardzo wysokie stanowisko w państwie. Cała sprawa Azefa jest jednym wielkim aktem oskarżenia przeciw postępowaniu rządu rosyjskiego. Wiadomo dziś dobrze, że projekt zamordowania ministra Plehwego, dokonany przy współudziale Azefa, mógł dojść do skutku tylko dlatego, że różne kote-



Karol Radek (Sobelsohn), krakowianin, przewódca ruchu bolszewickiego w Rosji, wedlng oświadczeń G. P. U. miał być prowokatorem w ostatnich procesach sowieckich

rje petersburskie nienawidziły się wzajemnie i dążyły do rozgrywki. Jedna z takich koteryj, wroga Plehwemu, nie zapobiegła zamachowi, choć mogła to uczynić. Natomiast próby zamachu na cara zostały udaremnione z całą bezwzględnością.

Głośny Burcew, dziś przebywający w Paryżu na emigracji i nie mniej wrogi rządowi komunistycznemu w Rosji, niż ci działacze dawnego rządu carskiego, z którymi całe życie walczył, w swej książce pod tytułem „W pościgu za prowokatorami" na podstawie szeregu przykładów stwierdza obłudę tych, którzy usiłują się rozgrzeszyć z zarzutu prowokacji.

Nie po raz pierwszy obecnie carat w osobach swych wybitnych przedstawicieli usiłuje zmyć hańbę stosowania prowokacji, gołosłownie przecząc temu zarzutowi. Jesteśmy dzisiaj w posiadaniu siedmiotomowego wydawnictwa „Upadek ustroju carskiego" (Padienie carskawo reżima), wydanego niedawno przez rząd sowiecki na mocy materjałów komisji śledczej, wyłonionej jeszcze przez rząd dumski w osobach Lwowa i Kiereńskiego. Komisja ta, na czele której stał wybitny adwokat Murawiew, niegdyś obrońca przestępców politycznych za caratu, przesłuchiwała ministrów i dygnitarzy byłego rządu carskiego, uwięzionych po przewrocie marcowym w twierdzy Petropawłowskiej. Trudno zastanawiać się szczegółowo na tem miejscu nad pracami tej komisji. Wystarczy stwierdzić, że głównym zarzutem, stawianym uwięzionym dygnitarzom, był zarzut uprawiania lub choćby tylko tolerowania prowokacji. Uwięzieni wypierali się tej metody kategorycznie, wiedząc, że zarzut ten najbardziej może zaciążyć na ich losach, co zaś do zarzutu wkręcania agentów do organizacyj rewolucyjnych, odpowiadali: „To jest konieczność państwowa. Tego i panowie nie unikniecie".

O ileż szczerszym od rosyjskich dygnitarzy był dawny prefekt policji paryskiej Andrieux (znany później, jako oskarżyciel aferzystów panamskich), który w książce „Souvenirs d'un préfet de police" przyznawał otwarcie, że jego agentami byli mówcy, którzy wzywali na wiecach proletarjat do położenia kresu eksploatacji kapitalistycznej, lub dziennikarze, którzy w dziennikach opozycyjnych zwracali nieraz uwagę niezwykłą gwałtownością ataków na rząd. Jeszcze szczerszym był inny eks-agent Yves Guyot, który dowodził, że każdy agent policyjny musi stać się prowokatorem, gdyż dochody jego są proporcjonalne do ważności dostarczanych przezeń informacyj. Musi wciąż coś donosić. Jeśli dostarcza wiadomości kłamliwych, musi starać się o to, aby kłamstwo uzyskało podstawę prawdziwą. W przeciwnym razie kłamstwo łatwo będzie wykryte.

U nas w latach powojennych zainteresowanie sprawami, związanemi z prowokacją polityczną, bardzo osłabło, w ostatnim jednak roku odżyło, w związku z próbą przeprowadzenia publicznej rehabilitacji Stanisława Brzozowskiego przez jego przyjaciół. Znowu stanęły przed naszemi oczyma postacie Bakaja i Azefa oraz Burcewa, patrjarchy rosyjskiej rewolucji, niestrudzonego w dziele demaskowania prowokatorów. Jak przed 25 laty, tak i dziś, ci, którzy wierzą w niewinność Brzozowskiego, i ci, którzy są przekonani o jego winie, miotają na siebie pociski.

Sprawa ta wymagałaby specjalnego omówienia. Dziś stwierdzić należy, że wielu tych, którzy stają w obronie wybitnego poety i pisarza, swemi wywodami, świadczącemi o zupełnej ignoracji, gmatwają sprawę, którą chcieliby wyjaśnić, i więcej szkody, niż korzyści, przynoszą pamięci Stanisława Brzozowskiego. W sprawie tej nie zostało jeszcze wypowiedziane ostatnie słowo. Szczegółowe przestudjowanie archiwów rosyjskich rzuci na nią niewątpliwie snop światła.

Sprawą tą i innemi sprawami podobnemi zajmują się ludzie dzisiaj przeważnie pod kątem sensacji. Rzadko kto ustosunkowuje się do metod prowokacji politycznej pod kątem widzenia sumienia, poruszonego faktem gwałcenia prawa przez tych, którzy powinni stać na jego straży z tytułu zajmowanego przez siebie stanowiska. Świat powojenny nie stoi pod znakiem humanitaryzmu ani praworządności. Z metodami, stosowanemi przed wojną nietylko nie zerwał, lecz je nawet udoskonalił, opierając się na zdobyczach nowoczesnej techniki. Gdziekolwiek okiem rzucić, widzi się metody prowokacji udoskonalone i wyrafinowane. Coraz mniej potrzeby usprawiedliwiania się z ich stosowania, bo niema niemal nikogo, ktoby — przynajmniej jawnie na nie sarkał. Carat rosyjski, który niegdyś tak oburzał sumienie europejskie, wygląda dzisiaj na naiwnego staruszka, usiłującego nieudolnie pogodzić zasady „zakonnosti" (praworządności) z potrzebą ratowania swej egzystencji, niezbędnej, w przekonaniu jego sług, do utrzymania równowagi w Europie.

Do numeru bieżącego dołączamy jako
p r e m j u m
dla wszystkich naszych prenumeratorów drugi tom dzieła
prof. E. Tarlé,
p. t. NAPOLEON — U SZCZYTU CHWAŁY

W. A. FIRSOFF

U STÓP GROŹNEGO WULKANU

(korespondencja własna „Świata")

ze zdjęciami autora



...nad „Montagne Pelée" kłębią się chmury...

St. Pierre w maju.

W nastroju Martyniki jest coś szczególnego, czego dokładnie nie można określić, a co czyni ją odrębną od wszystkich innych, podobnych zresztą zewnętrznie, wysp w Indiach Zachodnich. Jest to coś chmielnego, śpiewnego i marzącego, coś o zapachu zmroku.

Gdy statek zbliża się od północy z morza wysuwa się, spowity chmurami, masyw górski, ale to nie Martynika, lecz inna bliźniacza wyspa — Grenada, a dopiero za nią w oddali widnieje druga, wyglądająca niemal na jej duplikat. Nad półtorakilometrową Montagne Pelée kłębią się chmury. Stożek szczytowy wulkanu jest niewidoczny, tylko niżej na stokach szara golizna law i popiołów zwiastuje jego niszczycielską działalność. Pelée lub Mont Pelée znaczy poprostu Łysa Góra. Niżej — bujna zieleń: lasy, zarośla, a nad brzegiem morskim — małe zapomniane miasteczko, Saint Pierre.

Miasteczko to jednak było niegdyś, i to nie tak dawno, 35 lat temu zaledwie miastem ludnym i wesołym. Piękne wille stały wśród ogrodów, a z murków i płotów ogrodzeń zwisały girlandy wonnego kwiecia. Po starannie utrzymanym bulwarze przechadzali się miejscowi „flâneurs" — życie płynęło beztrosko. Aż nagle 8-go maja 1902 roku, po kilku dniach podziemnych niepokojów, ze szczytu Mont Pelée spłynęła „ognista chmura" (nuée ardente) przegrzanej pary i rozżarzonego popiołu. W 5 minut z miasta zostały ruiny, a z przeszło 30.000 mieszkańców ocalał tylko jeden— skazaniec, w celi więziennej, którego nazajutrz czekała gilotyna. W kwadrans potem, nad ruinami St. Pierre panowała spokojna i słoneczna pogoda, a przybyli z wnętrza kraju murzyni chodzili boso, oglądając dzieło zniszczenia.

Teraz miasto częściowo odbudowano — posiada ono właściwie tylko jedną ulicę, Rue Victor Hugo brukowaną kocimi łbami. Reszta stanowi jedno wielkie cmentarzysko. Ocalałe resztki ścian i fundamentów porosły krzakami i zielskiem, kwitnie tam różowy hibiscus i błękitny powój, świergocą ptaki i brzęczą pszczoły. A tu i ówdzie widnieje tabliczka z zaszkloną fotografią tego, co tam niegdyś było. Pomimo niezwykle niskich cen na parcele mało kto ma ochotę budować się w St. Pierre, choć czuwające dzień i noc na stokach wulkanu obserwatorium zapewnia o bezpieczeństwie, a uczeni tłumaczą, że taki wybuch zdarzyć się może tylko wtedy, gdy krater jest zamknięty. Teraz zaś jest otwarty i od czasu do czasu Doliną Lawin spływają zeń „ogniste chmury" niszcząc skąpą roślinność stoków. Najgroźniejsze wybuchy zdarzały się w okresie 1929 — 32.

Miezkańcy St. Pierre żyją głównie z umarłych: sprzedają rozmaite pamiątki, pokazują wielkie osuarium, gdzie złożono szczątki ofiar katastrofy, resztki więzienia i celi, która ochroniła swego mieszkańca przed upieczeniem. Pozatem uprawiają gromadnie żebractwo i naciąganie. Mekką turystyczną St. Pierre jest ciekawe muzeum wulkanologiczne, gdzie siwobrody uczony z rozetką Sorbony w klapie udziela cierpliwych wyjaśnień naiwnym Amerykanom. Są tam różne dziwa: gwoździe, co się zmieniły w rurki, pół - stopione żarówki elektryczne, które można świecić, i flakoniki perfum, zamienione w bezkształtną masę o nienaruszonej zawartości. Jest lawa skrystalizowana w zabawną szklaną sierść i



... nad brzegiem morskim małe, zapomniane miasteczko Saint-Pierre...

małe czarne krzyżyki, masa zdjęć i najprzeróżniejszych przedmiotów, ilustrujących rozmiary i naturę katastrofy.

Wnętrze ojczyzny Cesarzowej Józefiny porasta niemal całkowicie pierwotny tropikalny bór. Wspina się on nawet na niezwykle ostre, 60 stopni i więcej, stoki malowniczych Pitons de Carbet. Górne partie tych szczytów przedstawiają nieograniczone pole do popisu dla taterników lubujących się w „trawiastych problemach". „Szosa", stanowiąca główną arterię komunikacyjną kraju, łączy St. Pierre poprzez Morne Rouge (rzeczywiście — morne) ze stolicą kolonii, Fort de France. Szosa ta nosi ślady wybitnie „polskiej" gospodarki, ale w znacznie spotęgowanym nasileniu. Takich dziur i wybojów, otoczonych „dla bezpieczeństwa" płotkami bambusowymi, które małe dziecko mogłoby powalić bez wysiłku, nie widziałam jeszcze nigdy. Złośliwi twierdzą, że nie reperowano jej od czasu wycofania wojsk angielskich, które okupowały wyspę za Napoleona. To jednak jest mało prawdopodobne, gdyż tu i ówdzie ze względów niczem nieusprawiedliwionych trafiają się przestrzenie wspaniałego asfaltu, które za chwilę znów ustępują miejsca zupełnie pierwotnemu bezdrożu. Jedynie w pobliżu Fort de France określenie „szosa" traci cudzysłów.



Mieszkanka Martyniki

Ale tak czy owak, Martynika jest piękna. Niesłychany przepych roślinności, drzewa immortelle, osypane czerwonym kwieciem, delikatnie rzeźbione liście drzewiastych paproci, sploty pnączy, z potężnych, brodatych konarów leśnych olbrzymów, błękit morza w oddali, perspektywy dolin, gra światła i cienia, malownicze stroje wesołych tubylców i groźna obecność ziejącego ogniem wulkanu składają się na obraz niezapomniany i barwny, upajający.

Na Martynice panuje nędza i zaniedbanie, oraz wyraźna przypadkowość gospodarki: tu porządek, czystość, dostatek, a zaraz obok— wszystko się wali, niedbalstwo i brud. W koloniach angielskich asfaltowe autostrady tną pierwotny bór, znać wysiłek, napięcie, a zarazem godność i spokój. Nie spotka się tam biednego Anglika, ale spotka się wielu bogatych tubylców. W posiadłościach francuskich są biedni Francuzi, ale nie widzi się bogatych tubylców.

Na dalekim Trynidadzie obok budynku rządowego jakiś lokalny patriota wygłasza przemówienie anty - angielskie, a na ławce obok siedzi policjant brytyjski i nic — słucha w skupieniu...

Wolność słowa.

Na Martynice zaś widziałem na własne oczy, jak policjant francuski bił plecionym nahajem chłopców murzyńskich po nagich plecach — czynił to tak po ojcowsku, bez powodu, serdecznie. A rzecz nie do pojęcia, Murzyni zdają się jednak prosperować w tym „klimacie francuskim", a „angielski" jakoś im nie służy — przynajmniej często takie się odnosi wrażenie.



... stolica kolonji, Fort de France...

Festival muzyczny w Paryżu

W dniach 21 — 29 czerwca odbędzie się w Paryżu XV. Festival Międzynarod. Tow. Muz. Współcz. Program tego festivalu obejmuje dwa koncerty symfoniczne Filharmonii Paryskiej (na których m. in. wykonane będą „Symphonie concertante" Szymanowskiego, II. koncert skrzypcowy Jerzego Fitelberga, II. symfonia Malipiero, koncert fortepianowy Jean Françaix i t. d.), jeden koncert Gwardii Republikańskiej (Ducas, Debussy, Ravel, Roussel, R. Strauss, Casella i in.), i trzy wieczory kameralne (utwory Honnegera, Toyamy, Bmsha, Schachta, Maconchy i in.); wreszcie zapowiedziany jest koncert kościelny w opactwie Rauyaumont.

Wśród licznych imprez muzycznych, przygotowanych na okres festivalu M. T. M. W. znajduje się też koncert poświęcony współczesnej muzyce polskiej; wykonane będą dzieła Gradsteina, Maciejewskiego, Laksa, Palestra, Szalowskiego i Woytowicza.

I. H.

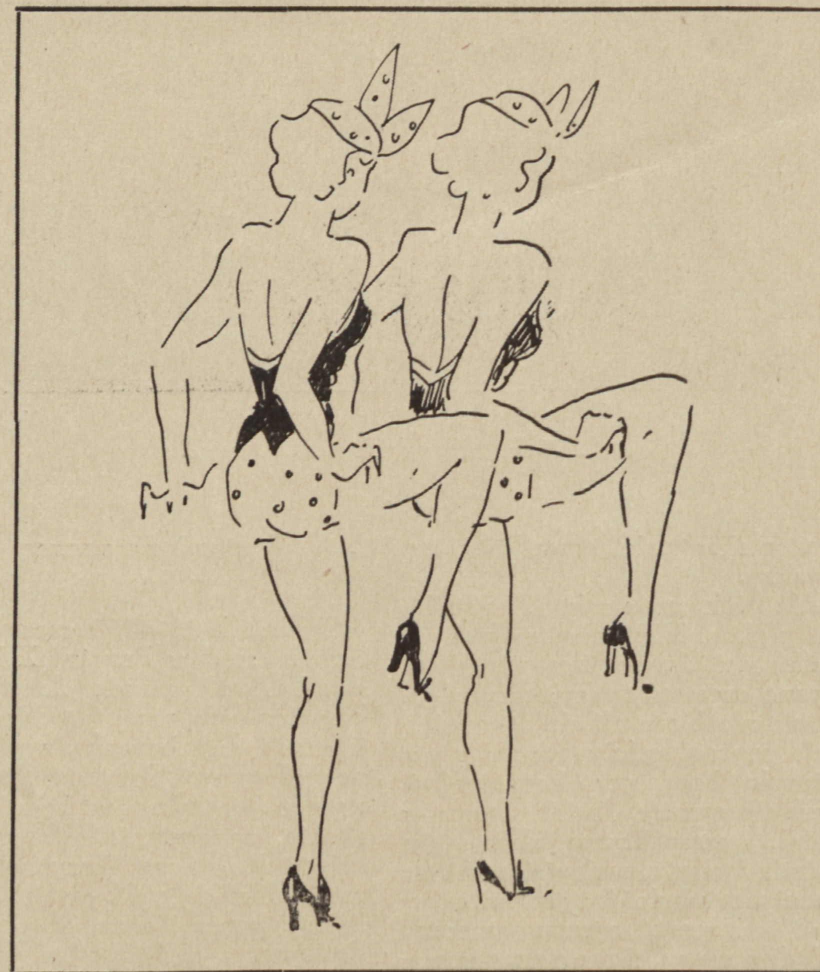
Wystawa darów i nabytków w Muzeum Narodowem w Warszawie

Wystawa Darów i Nabytków w Muzeum Narodowem otwarta jest codziennie z wyjątkiem poniedziałków, od g. 9-ej do 14-ej i od 17-ej do 19-ej. W niedziele i święta od 9-ej do 15-ej i od 17-ej do 19-ej.

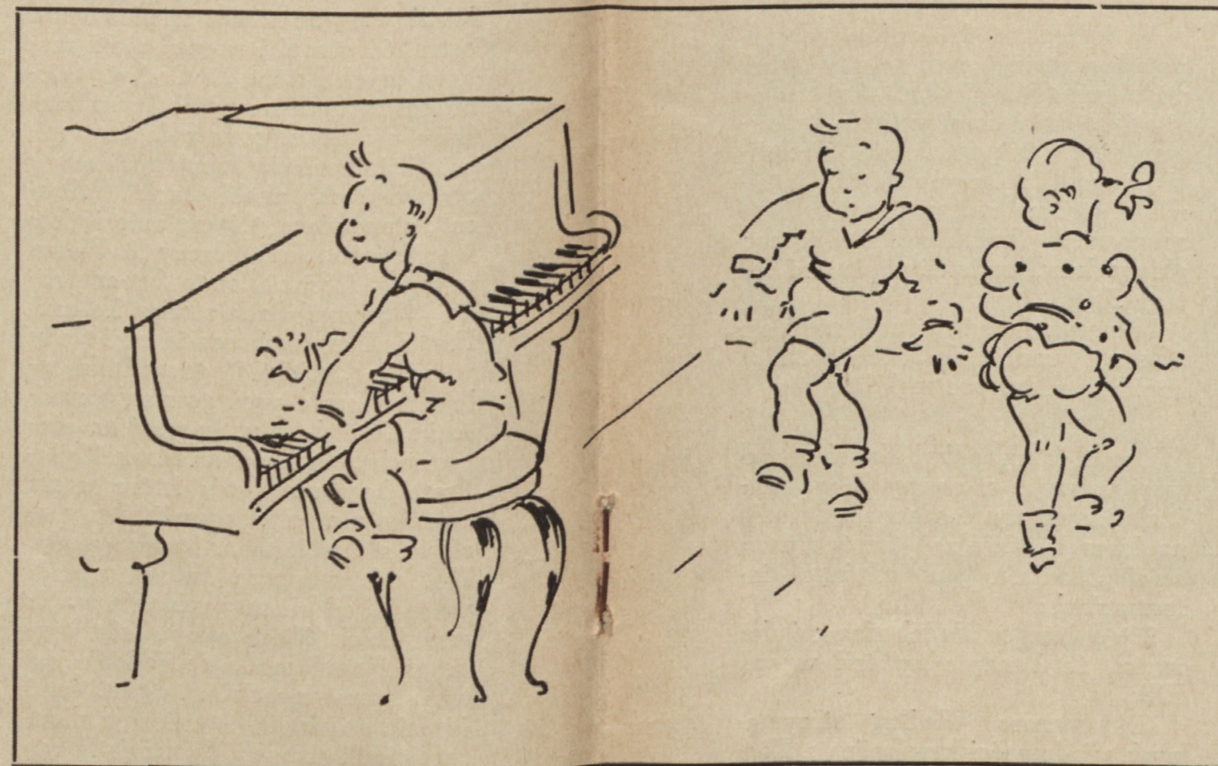
Bilety w dni powszednie w cenie 10 gr. (normalny) i 5 gr. dla wycieczek. W niedziele i święta wstęp bezpłatny.

NOWOCZESNE RYTMY TANECZNE

Rysunki Małgorzaty Wajchtówny



foxtrott



dżig marynarski



continental



karioka



step



oberek

PROTEST PRZECIWKO NOWEJ ORTOGRAFJI

Do protestu przeciw reformie ortograficznej przystąpili w dalszym ciągu następujący uczeni, literaci i publicyści:

Lucjan André
Marja Ankiewiczowa
Marja Rosco Bogdanowicz
Tadeusz Breza
Celina Bronowska
Tadeusz Bocheński
Marja Bronowska
Prof. Szczęsny Bronowski
Edward Chwalewik
Marja Czapska
Karol Hoffman
Róża Czekańska Heymanowa
Wawrzyniec Czereśniewski
Kazimierz Andrzej Czyżowski
Jan Dębski
Alfred Dickstein
Prof. S. Dickstein
Bolesław Dudziński
Jacek Frühling
Nela Gajzlerówna
Marja Gerson Dąbrowska
Witold Giełżyński
Bolesław Gorczyński
Stefan Grostern
Feliks Gwiżdż
Aleksander Heflich
Stefan Heflich Piotrowski
Paweł Hertz
Paweł Hulka - Laskowski
Wanda Kalinowska
Jadwiga Kiewnarska
Tekla Knoll - Wittigowa
Aleksander Kołtoński (Rzym)
Jan Koprowski
Jadwiga z Sienkiewiczów Korniłowiczowa
Tadeusz Kosiński
Edward Krasiński
Irma Kryńska Polakiewiczowa
Hanna Koryzna
Włodzimierz Lencki
Stanisław Lenkowski
Leopold Lewin
Emilja Manteufflowa
Jan Nepomucen Miller
Marja Mikorska
Wanda Miłaszewska
Stanisław Miłaszewski
Prof. Romuald Minkiewicz
Zofja Miszewska
Herminja Naglerowa
Tadeusz Michał Nittman
Adolf Nowaczyński
Beata Obertyńska
Gustaw Olechowski
Marja Ostrawicka
Michał Pawlikowski
Hanna Skarbek Peretjatkowiczowa
Prof. Leon Piniński
Wanda Pogonowska
Jerzy Pogonowski
Eugenjusz Popoff
Artur Prędski
Jerzy Rawicz
Marja Rodziewiczówna
Jadwiga Roguska Cybulska
Jerzy Mieczysław Rytard
Artur Rzeczyca
Nela Samotykowa
Stefanja Sempołowska
Mieczysław Smolarski
Marja Sokalowa
Adam Rola Sokołowski
Artur Sowiński
Herman Sternbach
Karol Stromenger
Janina Surynowa Wyczółkowska
Henryk Śniadecki
Adam Uziembło
Mieczysław Wallis
Stanisław Wańkowicz
Antonina Wareńska
Jadwiga Ważewska
Marja Jehanne Wielopolska
Jan Wielowieyski
Ida Wieniewska
Czesława Wojeńska
Jan Sokolicz Wroczyński
Stanisław Wygodzki
Janina Stefanowa Zakrzewska
Władysław Jastrzębiec Zalewski
Generał Marjan Zaruski
Regina Zienkiewiczowa (Domosława)
Stanisław Żyżkowski (Eszet)

Pisarze, korzy życzyliby sobie przyłączyć się po protestu, zechcą nadsyłać zgłoszenia pod adresem:

Julja Wieleżyńska, Warszawa, Marszałkowska 17, tel. 619 - 59 albo:

Stanisław Fr. Michalski, Warszawa, Szpitalna 5, tel. 650 - 99.

PROTEST GRODNA

Grodno, 3 czerwca 1937.

Niniejszym wyrażamy nasz zdecydowany protest przeciw narzuconej nam w r. 1936 nowej anormalnej pisowni i żądamy rewizji zepsutej ortografji.

Aleksander Domoradzki
Jadwiga Klukowska
Ludwik Szaniawski
Jadwiga Tukałło - Kątska
Olimpja Domoradzka
Mikołaj Wołoszewicz
Romuald Pułjan
Marja Dolińska
Jan Krzywiec
Ildefons Karwowski
B. Zalewska
Jan Balcewicz
Marja Eysymontt
Zygmunt Cybulski

Z ANEGDOT DZIENNIKARSKICH

Było to na kilka lat przed wojną. W prasie wiedeńskiej czyniono próby z wprowadzeniem reprodukcyj fotografji w druku gazetowym.

W jednym z dzienników postanowiono puścić na pierwszy ogień podobiznę Franciszka Józefa, z okazji urodzin cesarza. Kiedy numer był już na maszynie okazało się, że odbitka wypadła tak fatalnie, iż nic na niej nie można było rozpoznać. Redaktor, nie tracąc głowy, kazał zmienić napis pod fotografją.

Nazajutrz pod ilustracją zamiast: „Cesarz Franciszek Józef" widniał napis: „Londyn we mgle!"

*

Droga, którą odbył Napoleon po swej ucieczce z wyspy Elby, znalazła znamienne odzwierciedlenie na łamach oficjalnej gazety dworskiej „Moniteur", w kolejnych informacjach:

26-go lutego: Nadchodzą wiadomości, że bandyta opuścił wyspę Elbę.

1-go marca: Według otrzymanych wiadomości krwiopijca z Korsyki wylądował na brzegu francuskim w Golf Juan.

4-go marca: Donoszą nam, że Bonaparte opanował miasto Grenoble.

10-go marca: Generał Bonaparte wkroczył do Lionu.

11-go marca: Według ostatnich wiadomości, Napoleon udał się do Fontainebleau.

21-go marca: Jego Cesarska Mość Napoleon I odbył wczoraj uroczysty wjazd do swej rezydencji w pałacu Tuilleries.

*

Pracowałem kiedyś w pewnej agencji prasowej. Szef uczył mnie jak się fabrykuje t. zw. „kaczki dziennikarskie".

— Więc pisze pan np.: „Valpraiso. 18-go sierpnia. Depesza radiowa naszego specjalnego korespondenta. Straszna katastrofa na oceanie. Na wysokości Vuelpa angielski „Iris" pod dowództwem kapitana O'Connora zderzył się...

— ...z torpedowcem „Argentinia" — zaproponowałem skwapliwie.

— O nie — zawołał szef — tylko nie przesadzać! Nie będziemy zderzać ze sobą odrazu dwu okrętów.

(mgł.)

ŚWIAT TEATRU

TEATR KAMERALNY W WARSZAWIE

„Mecenas Bolbec i jego mąż"



Rzęcki, Grywińska i Balcerzak



Irena Grywińska jako mecenas Bolbec (z prawej) i Hanna Różańska

„Mecenas Bolbec i jego mąż", komedia w 3-ch aktach Jerzego Berra i Ludwika Verneuila. Reżyseria Artur Kwiatkowski, dekoracje Stanisław Jarocki.

Są tematy, które uparcie powtarzają się w bogatym repertuarze francuskich, a ściślej paryskich, lekkich komedii, przeznaczonych na mniejsze sceny bulwarowe. Trójkąt małżeński we wszelkich możliwych odmianach, kombinacjach i okolicznościach stanowi jądro, dokoła którego wirują w oszałamiającym tempie i najbardziej niespodziewanych rozwiązaniach błahe i banalne zdarzenia, sprzęgnięte zależnie od zdolności autora w bardziej lub mniej barwne koło przybrane racami lekkiego, bezpretensjonalnego dowcipu.

Charakterystyczna cecha komedii francuskich, lekkość i dowcip wymagają od zespołu wykonawców przede wszystkim lekkiej wesołości, czasem farsowatości, każą się podać na wesoło bez zbytniego pogłębiania.

Nieodzowny warunek prawdopodobieństwa, uzyskany dość łatwo przez puszczanie przedstawienia w dużym tempie, bez luk i zatrzymań został przez reżysera należycie doceniony. Od pierwszej sceny sytuacje zmieniają się jak w kalejdoskopie. Na scenie króluje tempo, spotęgowane błyskotliwą ironią dialogu.

Jednak intencje autorów i wysiłek reżysera nie wszędzie zostały należycie zrozumiane. Mecenas Bolbec — sławna kobieta adwokat, zaniedbująca dom dla spraw zawodowych jest przede wszystkim paryżanką, ze wszystkimi jej wadami i zaletami z wielką dozą kokieterii i wdzięku. Rola ta wymaga z samego założenia komedii, aby ją potraktować lekko, czasem nawet powierzchownie. Irena Grywińska — odtwórczyni roli tytułowej nie uwidoczniła niestety kobiecej zmienności paryżanki. W grze jej wyczuwało się pewną sztuczność, humor był trochę wymuszony, brak było właśnie jej paryżanki. Irena Grywińska była w tej sztuce taka, jaką widzieliśmy już wielokrotnie. Nic nowego, mimo że sztuka dość znacznie odbiegała charakterem od poprzednich przedstawień na scenie „Kameralnego".

Kokocia werwa paryżanki znalazła pełną temperamentu interpretatorkę, w osobie Hanny Różańskiej. Jej rola chwilami nieco przejaskrawiona była motorem akcji, wywołującym szczere odczucie widowni. Naiwność, głupota przeciętnego kobieciątka podane z wdziękiem, werwą i humorem zjednywały jej poklask, szereg satyrycznie potraktowanych scenek stworzył jej szerokie pole do popisu, a przez kontrast z patetycznością wielkiego adwokata uwypuklił farsowość komedii.

Świetny Dardziński, znakomicie ucharakteryzowany, umiarkowanie przeszarżowany wywoływał koncertową wprost grą entuzjazm publiczności. Hanna Parysewicz mimo chwilami niepotrzebnie przejaskrawionej wulgarności stała na dobrym poziomie komediowym. Balcerzak — niezrównany — potrafił rozgrzać się tematem sztuki i dzielnie sekundował farsowej Cecylii Pointet, choć jednocześnie współobecność na scenie p. Grywińskiej działała nań onieśmielająco. Wanda Bartówna w roli pokojówki miała naturalność i humor, Zygmunt Rzęski w roli zakochanego sekretarza wypadł stosunkowo słabiej.

Przy pewnym retuszu roli tytułowej przedstawienie wesołe i pogodne może długo bawić publiczność warszawską.

Zastępca.



Scena zalotów z „Króla włóczęgów". Wierzejska, Znicz, Skonieczny.

TEATR LETNI — „Król włóczęgów" — *Komedja myzyczna Hooker'a i Post'a. Teksty śpiewne Juljana Tuwima. Inscenizacja Janusza Warneckiego.*

Operetkę lub „komedje muzyczne" spotykamy w Warszawie w różnych teatrach. W Operze, w rewiowym teatrzyku, w tej lub innej efemerycznej imprezie operetkowej, w „Cyruliku" w Teatrze Letnim. Jak dotąd, to te z Teatru Letniego były z nielicznymi wyjątkami najpoprawniejsze.

„Król włóczęgów" wystawiony ostatnio cieszył się wielkim powodzeniem. Upały, lekka treść — staranne opracowanie strony muzycznej przez Tadeusza Sygietyńskiego, dobra reżyserja i doskonałe wykonanie, oto atuty, decydujące o powodzeniu. Dzięki nim publiczność spędza w Teatrze Letnim beztroski wieczór. Jest to zasługa reżyserji i wykonawców. Tekst nie jest ani specjalnie zabawny ani wesoły. Sytuacje niezbyt pomysłowe, clou ma stanowić użycie postaci Villona jako tematu. Pomimo zupełnej przeciętności fabuły i tekstów, dzięki werwie artystów i dobrej inscenizacji, bawią nas sytuacje znane i nieco nawet operetkowo zbanalizowane. Wielki wyścig artystów o palmę pierwszeństwa sprawia, że to pierwszeństwo trudno jest poprostu określić. Brochwiczówna śpiewa świetnie zarówno pod względem wokalnym jak i ekspresji związanej z akcją. Wnosi na scenę urok głosu i postaci, gra lirycznie lub wesoło, wygląda ślicznie. Michał Znicz jako włóczęga, opój Tabarin jest nieporównany. Jego bezpośredni komizm, naturalne ciepło i pomysłowość w doborze efektów są rozbrajające. Ulega się jego komizmowi jak narkotykowi. Jeszcze jedną znakomitą sylwetkę stworzył ten świetny artysta. Damięcki, jako Villon — don Juan ma werwę i rozmach. Doskonałe drugoplanowe figury, dały młode i utalentowane artystki, Brzezińska i Tiché. Mają wdzięk, naturalność, życie i inteligentnie traktują nawet błache role i rólki. Obu tym artystkom należy się opieka i troskliwość dyrekcji. Odpowiednio obsadzone mogą być nietylko dobre i pożyteczne — mają warunki do pierwszego rzędu zespołu T.K.K.T. Pełną rozmachu, umiarkowanej rubaszności i werwy była Macherska w roli oberżystki Margot. Zabawne typy dali Wierzejska, Skonieczny, Borowy i Grabowski, prowadząc cały zespół doskonale sharmonizowany i przygotowany. Dekoracje i kostjumy St. Jarockiego dobre i barwne. Summa summarum — wieczór teatralny bez zbytnich ambicji, ale beztroski, dostarczający wypoczynku i zabawy szerokiej publiczności. A wykonanie bez zarzutu czyni zeń wieczór miły i przyjemny.

L. Ch.



Janina Piaskowska — utalentowana artystka teatrów TKKT — została zaproszona do Wilna, na szereg gościnnych występów.

ZMIANA ADRESU „ŚWIATA"

W pierwszych dniach lipca r. b. Redakcja i Administracja „ŚWIATA" przeniesione zostaną do nowego lokalu:

NOWY ŚWIAT 26 w Warszawie

Telefony nasze pozostaną bez zmiany:
Tel. Redakcji 210-87,
Administracji 504-00

Również niezmienione pozostanie konto „Świata" w P. K. O. 3755

HALINA MARJA DĄBROWOLSKA

NAD RZEKĄ

(n o w e l a)

W ciepły poranek październikowy, niskim słońcem oblany, to się stało. Paru chłopów porzuciło pługi i stanęło nad rzeką. Chciało się przyjrzeć. Rozmawiało.

Woda wówczas, gęsta od koloru, spokojnie leżała w korycie rzeki. Była jak zielony kamień ciemna od nawisłych gałęzi.

Głosy w cichym powietrzu niosły się daleko.

Baby przy kartoflach rozprostowały plecy, podsunęły zsunięte na czoło chustki. Z dłońmi przy brwiach, pod dachem z ręki stały słońcu naprzeciw. Słuchały.

Ich niepokój udzielał się zwierzętom, które przyszły tu za kopiącemi, w pole. Przysiadły na tylnych łapach i postawiły uszy, a konie przestały jeść trawę.

Dzieci, śpiące w płótnie, rozciągniętym między dwoma żerdziami, pobudziły się i zaczęły płakać. Krowa jedna z nad rzeki podniosła pysk i rykiem skarżyła się niebu.

Wieśniacy coś osobliwego musieli zastać na brzegu, bo skrzykiwali pozostałych od roboty z pola.

Ptakom nie podobał się ten hałas i uciekły z krzaków. Zagniewana wiewiórka okrążała sosnę, to tu, to tam, wsparta na ogonie, buńczucznie spoglądała z góry na to co się dzieje. Naraz krzyknęła i po wiotkich gałęziach poszła w górę.

A przyczyną skłócenia ciszy tego poranka stała się nieruchoma kupa łachmanów.

To coś leżało niedaleko rzeki. Głowa z krótko ostrzyżonymi włosami miała łaty białe, czy miejsca puste na czaszce. Oczy były wstawione w opuchłe kręgi powiek, wargi wezbrane i sine. To bezwładne ciało w strzępach ubrania było przecież wszystkim znane, tym co go otaczali. Był to chłopak od Wawrzyńca, Myhtodi. Ten chłopak, który przed paroma tygodniami uciekł ze swojej wsi, żeby tak do niej powrócić.

Myhtodi wiedział to o sobie, że w metryce miał napisane „ojciec nieznany", a także, że matka umarła, gdy miał pięć lat.

Odkąd pamięcią sięgnął, coś pasał.

Najpierw zaganiał kurczęta, żeby nie szły w pole i pilnował, żeby nie porwał ich jastrząb, wówczas chyba nie nosił jeszcze portek. Później pilnował gęsi na łące, potem kóz. Jak już podrósł, dostał cielęta, a gdy się stał chłopakiem, pasał krowy.

Gospodarze, u których służył, nigdy mu nie płacili. Dostawał jedzenie, czasem stare ubrania po dzieciach, gdy już z nich wyrosły. Tak dożył lat dwunastu i nie miał nawet sandałów, tylko zawsze bose nogi. Tego wstydził się najbardziej i to stało się źródłem jego cierpienia, bo łatwiej pokazać się między ludźmi, gdy się nie ma czapki, niż kierpców.

Dlatego też Myhtodi nie chodził do kościoła, bo się wstydził.

Aż później nauczyły go dzieci, z któremi pasał, żeby biegł za przejeżdżającemi drogą autami i rzucał do powozów pęczki łąkowych kwiatów, bo obok wsi leżała szosa i prowadziła w piękne góry. Robił to i dostawał za to grosze. Zebrane pieniądze chował do dziupli wierzbowej na łące. Miał czternaście lat, kiedy sobie za te oszczędności kupił pierwsze sandały.

Myhtodi nie chodził do szkoły, bo któżby za niego obrządzał bydło?

Niema jeszcze takiego prawa, żeby darmozjadowi dawać chleb. Nie przyszło mu nawet do głowy mieć żal, że inni się uczą.

Jednak gospodarz posłał go na naukę katechizmu. W małej zielonej kapliczce uczył się liter, dogmatów i pieśni. Był pojętny, nauczył się sam składać wyrazy i trochę pisać, ale nie miał skąd wziąć książek i powoli zapomniał tego co umiał.

Ostatnio służył u gospodarza, który był Łempkiem, ten chodził modlić się do cerkwi, a kiedy miał iść spać, wiele razy zginał się w pas przed obrazem w rogu pokoju.

Leżąc nad rzeką, Myhtodi, spokojny o rozważne krowy, które się pasły obok, często myślał, jak to jest. Wiedział, że wielu tu jest chłopów, którzy mówią po rusku, i Polacy nazywają ich Rusami, lub Łempkami i jego również nazywają tak, to tak.

Rusów chaty często nie miały szyb, ani misy do mycia, kominy nie wychodziły na dach, tylko dym wydostawał się bokami strzechy.

Tak, Polacy mieli większe domy, częstsze szkoły. Sami nosili się czyściej, mniej było u nich chorych na wole i głuptaków żebrzących na drodze.

A za rzeką graniczną mieszkał jeszcze jeden lud słowiański.

Teraz sypiał Myhtodi w izbie, gdzie więcej spało zwierząt niż ludzi. Lampy w chacie nie było, tylko przed obrazem palił się knot, zrobiony z lnu, w łoju, lub rybim tłuszczu stojący. Na noc nikt nie zdejmował ubrania. Myhtodi lubił czystość. Mył się jednak, jak tu wszyscy: brał wodę do kubka, z kubka do ust, z ust pryskał na dłonie. Temi dłońmi przemywał twarz, oczy, ręce. To było wszystko.

Jedzenie wszędzie dawali mu bardzo liche: trochę kartofli w zupie, bo już o chleb było trudno, a cóż dopiero o mięso. Więc pastuch poddajał na łące krowy i jakoś żył i miał siły.

Pewnego lata pasał bydło nad rzeką. Tam była granica, obcy kraj. Raz z tamtej strony rzeki przyszło na łąkę dwuch ludzi. Mieli plecaki na ramionach, siedzieli obok pastucha, jedli dobre rzeczy, jakich jeszcze nie widział i chociaż mówili obcym językiem, coś niecoś zrozumiał, że chwalili swój kraj. Opowiadali mu, że u nich je się pomarańcze, jak kartofle, a za konia przeprowadzonego z Polski przez granicę, płaci się tyle, ile on zarobi

przez pięć lat życia. Powiedzieli mu także, że łatwo może zarobić u nich tak, że będzie mieć piękne żółte buty, nowe ubranie, niech tylko porzuci Polskę i swoją wieś, a przejdzie przez granicę do nich.

Ludzie ci odeszli, ale Myhtodi po raz pierwszy zapragnął odmienić swój los i pójść za nimi do obcej ziemi.

Ci panowie myli w strumieniu ręce i zostawili kawałek mydła na trawie. Myhtodi coprawda widywał czasem mydło, lecz nie używał go nigdy dotąd. Mieszkańcy tutejsi myli ręce piaskiem, popiołem, nawet skorupkami z jaj. Mydła nie było za co kupić. Kobiety prały bieliznę, tłukąc kijami płótno.

Schował swój skarb. Teraz codzień nad strumieniem szorował niem twarz, ręce.

Aż jednego dnia, gdy sięgnął łyżką do wspólnej misy gospodarz poczuł zapach. Ile razy ręką Myhtodi sięgnie, zaraz perfumy pachną. Już dawno chłopcy wypatrzyli, że ma rękę białą nie taką, jak u wszystkich — z ziemią u paznokci.

Zaczęli więc starsi w izbie spluwać, krzyczeć na niego, co mu się zachciewa.

— Czy to djakiem chce być, panem czy dziewczyną, że twarz chce taką mieć czystą i gładką?

I zapowiedzieli mu, że jeśli jeszcze raz przyjdzie z tym zapachem do stołu, dostanie batem. Niech mu się w głowie nie przewraca. Ma być tem, czem jest, czem go Bóg stworzył: pastuchem.

Więc poszedł Myhtodi, rzucił do rzeki mydło. Lecz za tym płatkiem, który wartko płynął w obcą stronę, odeszło Myhtodiego serce.

Teraz już nietylko chciał. Teraz wiedział, że przejdzie obcą granicę.

Słyszał, że chłopi z okolicy wyjeżdżali na roboty do fabryk, do kamieniołomów, a także na pracę w polu. Przyjeżdżali też agenci, zabierali całą gromadę do tego obcego kraju.

Byli też tacy, co jeździli, aż do Ameryki, w dalekim starostwie wyrabiali papiery i emigrowali w świat.

Z Myhhtodim jednak agenci nie chcieli nawet mówić, nie miał jeszcze szesnastu lat. Gospodarz nie dałby mu pozwolenia na wyjazd, a dokumenty jego nie wiadomo gdzie były.

Za owym płatkiem mydła, za wizją żółtych butów, postanowił zbiedz.

Tam za granicą są też ludzie, jak mówili ci panowie, lepsi, bogatsi, którzy pomogą zarobić.

I ciemną nocą przeszedł Myhtodi graniczną rzekę.

Ukrywał się parę dni, żeby go nie odstawili z powrotem. Zgłosił się wreszcie do jakiegoś gospodarza — już na obcej ziemi. Ale tu bali się trzymać chłopca, który nie miał żadnych świadectw. Znalazł się jednak kolonista odważniejszy i bardziej chciwy. Powiedział, że weźmie Myhtodiego do wyrębu drzewa. Da mu ubranie i buty, nic gotówki. Pastuch będzie to musiał przez wiele miesięcy odrabiać.

Ale Myhtodi nie był obrotny w nowej robocie. Niedługo pracował. Wielka sosna, której podcinano pień, upadła ciężarem agonji na ciało Myhtodiego. Przywalonego jej wagą, zemdlonego drwale wyciągnęli z pod jej kosmatych gałęzi..

Ten gospodarz, który wziął Myhtodiego do roboty, bał się, że będzie musiał ponieść koszta za jego chorobę, że napewno zmuszony byłby do płacenia odszkodowania za nieszczęśliwy wypadek przy pracy, a także, że może odpowiadać za to, że wziął chłopca do służby, co bez dokumentów przeszedł granicę. Więc uradził z innymi coprędzej odstawić Myhtodiego z powrotem do jego wsi.

Leżał więc Myhtodi cichy na posłaniu, zrobionem z mchu, plamami słońca nakryty. Sosny, co wyższe, dotykały się czubami i opowiadały o nieumyślnej zemście jednej z nich nad człowiekiem... Przenosiły tę wieść od jednej głowy do drugiej, aż zakołysał się cały las grozą.

Późną nocą osłabłego Myhtodiego wzięło dwuch co silniejszych chłopów i zaniosło nad wodę.

On sądził, że niosą go do szpitala, był zgodny, był nagle jakby wywyższony, że stał się z pastucha taką ważną osobą, — którą sam gospodarz wiezie do doktora. Włożyli mu dawne jego ubranie. W zupełnej ciemności, brodząc, przeniesł: jego ciało nad graniczną rzekę. Tam, na polskiej stronie, pośpiesznie ułożyli na łące, kazali być cicho, żeby nie zwrócić uwagi straży, obiecali przyjść zaraz i odeszli z powrotem za rzekę.

Próżno czekał Myhtodi. Wielka gorycz wobec ludzi nakryła go niby fala.

Kiedyż dorobi się butów, różowego mydła!

Dużym wysiłkiem poczołgał się wyżej. Poznał łąkę, na której dawniej pasał, i ucieszył się. Chciał umrzeć na ojczystej ziemi, ten, który nie wiedział nawet co znaczy ojczyzna.

Tak chorego zastał świt.

Krowa pasąca się niedaleko poznała zapach tego człowieka, co dzielił z nią wiele lat życia.

Podeszła. Zastanowiła się nad bezwładnym. Przestała jeść.

To, że krowa się nie pasie, rozgniewało dziecko, które jej doglądało. Dziewczynka podbiegła do Łyski i zobaczyła rannego.

Zaczęła krzyczeć. Usłyszeli ją gospodarze i odeszli od pługów. Podniosły głowy kobiety z nad kartofli. Obudziły się dzieci, po miedzach dosypiające swego snu. Podbiegły psy.

I tak w ten ranek październikowy, niskim słońcem oblany, znaleziono na granicy, nad cichą rzeką chorego Myhtodiego z pobliskiej wsi.

NASZA SPRAWNOŚĆ MORSKA

Sprawy przewozu towarów statkami polskimi są w naszej prasie bardzo rzadko omawiane. Wyjątek stanowią dodatki gospodarcze oraz pisma fachowe. Są to jednak sprawy ważne, mogące zainteresować nawet laików wymową swych cyfr, które tak silnie dziś wpływają na całokształtowanie się płatniczego bilansu naszego państwa, a w ogóle na ożywienie gospodarcze, stanowiące przedmiot zainteresowania każdego inteligentnego obywatela kraju. Rok ubiegły zaznaczył się poważnym rozwojem obrotów frachtowych pod polską banderą. Rozwój ten tłomaczy się nie tylko pomyślną koniunkturą, lecz również skoordynowanymi wysiłkami w kierunku rozbudowy naszej marynarki handlowej. W miarę jak zwiększa się wymiana towarów przez porty polskie, t. j. drogą morską, zwiększają się i możliwości intratnych inwestycyj żeglugowych.

Z końcem zeszłego roku GAL uruchomił nową linię do portów Zatoki Meksykańskiej, która spopularyzowała się pod nieoficjalną nazwą „Cotton Line" (Linia Bawełniana). Trasa tej linii biegnie z Gdyni przez New York do Nowego Orleanu, Galvestonu i Houstonu w stanie Texas. GAL zafrachtował początkowo na tej linii dwa statki duńskie: „Aalsund" i „P. N. Damm", które od maja r b. skierowane będą na Linię Południowo-Amerykańską GAL'u, a na ich miejscu kursować będą dwa większe motorowce norweskie „Vigrid" i „Vigiland". Okazało się to konieczne ze względu na zwiększenie ładunków i częsty brak miejsca. Nowozaczarterowane statki są poza tym szybsze i pozwalają na częstsze odjazdy, .t j. na większą ich liczbę w roku. Tonaż ich (nośność po 7.500, a przeciętny ładunek, zależnie od rodzaju towaru, około 6.000) jest dwukrotnie większy od tonażu „Aalsund" i „P. N. Damm". Poza tym motorowce te mają pomieszczenia dla 12 pasażerów w kabinach z wszelkimi wygodami. Na Linii GAL'u do Zatoki Meksykańskiej ładunki w kierunku zachodnim, t. j. do Ameryki składają się ze słodu, wytłoków buraczanych, blachy żelaznej i żelaza handlowego do Ameryki Centralnej (z przeładunkiem w New Yorku), następnie z celulozy do New Yorku i Nowego Orleanu, z lnu, różnych nasion, wreszcie szmat lnianych oraz bawełnianych, drzewa i dykty. Poza tym idzie w tym kierunku drobnica, stanowiąca, jak zawsze, najkorzystniejszy ładunek.

W kierunku wschodnim, t. j. do Gdyni idą tą linią: bawełna, złom żelazny i drobnica. Statki, zaczarterowane przez GAL, są na tej linii zawsze pełne. Pomyślna koniunktura daje tu zatem widoki przejścia we właściwym terminie do własnego tonażu.

Maksimum wykorzystania stwierdzono również na linii Północno-Amerykańskiej GAL'u, t. j. na trasie Gdynia — Kopenhaga — Halifax — New York, na której kursują dwie największe jednostki polskiej marynarki handlowej: m/s „Piłsudski" i m/s „Batory". Przeciętne maksimum ładunku na tych statkach pasażerskich wynosi 2.200 ton. Zarówno jak „Vigrid" i „Vigiland", statki „Piłsudski" i „Batory" wyposażone są w nowoczesne urządzenia chłodnicze. W kierunku do Ameryki nasze dwa duże motorowce pasażerskie przewożą najwięcej przetworów mięsnych, słodu, tkanin, konserw jarzynowych, mebli giętych, a poza tym drzewa obrobionego.

Na Linii Południowo-Amerykańskiej GAL'u obserwujemy również objawy pomyślnej koniunktury i maksimum wyzyskania ładowni statków. Linia ta, uruchomiona z końcem lutego roku zeszłego, miała zrazu na odcinku frachtowym łączną obsługę GAL'u i Żeglugi Polskiej. Od nowego roku eksploatacja tej linii przeszła wyłącznie do GAL'u. Kursują na tej linii obecnie stale dwa statki pasażerskie: „Kościuszko" i „Pułaski", a od maja kursować będą wyżej wspomniane towarowe: „Aalsund" i „P. N. Damm". Agentami frachtowymi tej linii GAL'u jest firma Rothert i Kiłaczyński, Gdynia. Odjazdy statków z Gdyni odbywają się regularnie co miesiąc. W kierunku do portów Ameryki Południowej ładunki składają się tu głównie z półfabrykatów żelaznych (rur, sztab i t. p.) w ilości około 1.000 każdorazowo, następnie z bieli cynkowej (do Argentyny), słodu (do Brazylji), czasem z drzewa, a poza tym z drobnicy. Ta ostatnia z kolei składa się z chemikalii polskich, z chmielu, obuwia gumowego i skórzanego, słodu, gwoździ, cynku, papieru zdobniczego, a nawet żyta, które to ładunki idą przeważnie do Brazylii. Poza tym do Argentyny idą tą linią: dykty, bibułka na zwijki do papierosów, naczynia emaliowane, wódki, likiery, a nawet maszyny polskie.

W kierunku do Gdyni z portów Ameryki Południowej sprowadzane są garbniki (ekstrakty Quebracho) — po tysiąc ton każdorazowo, surowe skóry, wełna, wysokie gatunki siemienia lnianego — z Argentyny, oraz kawa, bawełna i drobnica z Brazylii.

Maksimum przeciętnego ładunku (zależnie od rodzaju towarów) na statku „Pułaski" wynosi w kierunku do Ameryki Południowej 1.000 ton, a w kierunku powrotnym do Gdyni 2.800 ton. Na statku „Kościuszko" 1.000 w obydwu kierunkach. Maksimum to jest stale wyzyskiwane. Na statkach „Aalsund" i „P. N. Damm" maksimum to wynosi przeciętnie około 3.000 ton.

Na Linii Palestyńskiej GAL'u kursuje statek „Polonia", który przewozi do Palestyny rzeczy przesiedlenia emigrantów żydowskich z Polski, z Rumunii drzewo oraz komplety skrzynkowe dla przewozu owoców oraz drobnicę zarówno z Polski jak i z Rumunii. W odwrotnym kierunku przewożone są statkiem „Polonia" z Palestyny pomarańcze i cytrusy do Rumunii, a z Grecji do Rumunii wino i rodzynki.

ZE SCENY i Z ESTRADY





Zdjęcie powyżej:
Znana węgierska śpiewaczka operetkowa Ila Verböczy, powróciła na krótko do Warszawy, po występach w Liége, Bruxelli i Ostendzie

Zdjęcie na lewo:
Młody, utalentowany pieśniarz, Jean Boitel, po szeregu sukcesów zagranicą, wystąpi w końcu czerwca w Warszawie w teatrze „Wielka Rewja"

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Jerzy W. Helbich. Serce na oścież, wiersze. Wyd. Przegląd Katolicki. Warszawa 1935.

Bardzo trafnie zatytułował autor zbiorek swych wierszy, bowiem ich najbardziej uderzającą cechą jest szczerość i prostota. Bez pozy i patosu, nie siląc się na wyszukane rymy przedstawia nam poeta swój stosunek do Boga i przyrody, czyniąc to w sposób bezpretensjonalny i szczery.

M. Rybczyński. Wisłą od źródeł do morza. Państw wyd. ks. szkolnych. Lwów 1937.

G. A. Mokrzycki. Skrzydlata ludzkość. Państw. wyd. ks. szkolnych. Lwów 1937.

E. Śliwińska. Historja naszych zbóż. Państw. wyd. ks. szkolnych. Lwów 1937.

Jan Biliński. Ćwiczenia słownikowe. Państw. wyd. ks. szkolnych, Lwów 1937.

Jerzy Manteuffel. Książka w starożytności. Państw. wyd. ks. szkolnych. Lwów 1937.

K. Michałowski. Delfy. Państw. wyd. ks. szkolnych. Lwów 1937.

CZY PANI WIE, ŻE...

...w swem praktycznem wydawnictwie „Jak oszczędzać w gospodarstwie domowem" P. K. O. daje szereg rad godnych zastosowania w każdem gospodarstwie.

Bardzo na czasie jest np. następujący środek wzmacniający dla rekonwalescentów i wogóle dla osób osłabionych:

Wziąć 4 łyżki soku z łodyg rumbarbarum, 2 łyżki soku z buraków albo marchwi, dodać do tego 9 łyżek wody, pić ciepłe lub zimne.

■

...na wsi niezawsze mamy pod ręką dobre mydło czy szampon do mycia włosów. Poradzimy sobie same, robiąc w domu następujący szampon: zagotować dwie dobre garści korzenia mydliku — (sprzedaje każdy skład apteczny) — w dwuch litrach wody. Roztrzepać ten płyn ręką silnie, aby się dobrze zapienił, i myć nim włosy, parokrotnie dokładnie spłukując.

■

■

...wszystkie nasze miłe psy mają jedną wadę: mają niestety pchły. Sprobujemy zastosować sposób następujący: kąpać psa w ciepłej wodzie z dodaniem na 1 litr wody 12 gram. tynktury aloesowej. Wyczesać zwierzaka, zanim mu sierść wyschnie. Na jakiś czas będzie spokój.

■

...doskonała legumina kawowa, którą z łatwością spreparujemy na wakacjach, gdy nagle nam w niedzielę goście spadną na głowę. 150 gram. cukru pudru i dwa żółtka rozcierać w kamiennym garnuszku, aż się cukier całkowicie rozpuści. Wtedy dodawać po kawałeczku 150 gram. świeżego masła, ciągle rozcierając. W końcu, gdy krem jest już zupełnie gładki, dodać trzy łyżeczki bardzo mocnej kawy czarnej. Formę blaszaną wysmarować lekko tym kremem, poczem ułożyć na dnie cienką warstwę biszkoptów namoczonych w bardzo mocnej czarnej kawie. Na to warstwa kremu, znów warstwa biszkoptów, aż do wypełnienia formy. Przykryć formę talerzem, wynieść do piwnicy na dwie godziny. Przed samem podaniem wyrzucić z formy. Gdyby krem przywarł, zanurzyć formę na krótką chwilę w gorącą wodę. Taką samą leguminę za innym razem zrobi pani, stosując zamiast czarnej kawy czekoladę.

■

...mamy ciepłe upragnione lato. Ale podczas upałów niejedna gosposia westchnie: cudowne lato, ale bez tych natrętnych much! Jednak znalazł się niezawodny, niszczący środek — na muchy. Są to Muchołapki wyrobu firmy Dobrolin niezastąpione, gdyż nie wysychają i dają się przechowywać z roku na rok.

■

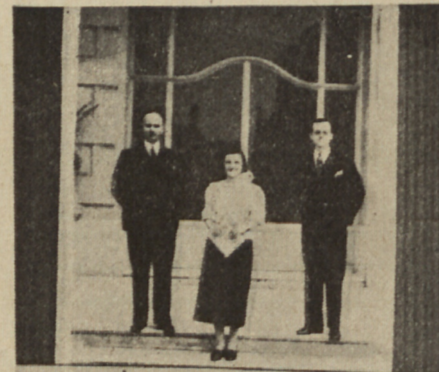
...kamelje są bardzo modne. Piękna kamelja biała lub różowa (sztuczna) świetnie wykańcza surową prostotę czarnego kompletu. Trzy białe kamelje z piki przy szyi zamykają ślicznie i zdobią skromną sukienkę. Jedna biała kamelja na czarnym maleńkim toczku dodaje szyku i strojności.

■

...każda z nas chce mieć piękne rzęsy. Nie wystarcza na to staranne smarowanie tuszem czy rimmelem. Trzeba naprawdę rzęsy wzmacniać i pielęgnować. Należy je czesać, tak jak się czesze włosy, stosując maleńką szczoteczkę, którą podczesywać będziemy rzęsy w górę, dla nadania im pięknego kształtu wygiętego.

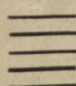
Dama Pikowa.

Sukces Krakowskiej Szkoły Hotelarskiej



Dyrekcja Szkoły Hotelarskiej otrzymała powyższe zdjęcie wraz z bardzo pochlebną dedykacją:

„Dla Dyrekcji Szkoły Hotelarskiej w Krakowie słowa uznania od Zarządu Hotelu Ruhl w Nicei, za bardzo dobre fachowe przygotowanie absolwentki p. Kokorzeckiej.
Hotel Ruhl Nicea. 12.5.37.



ŚWIAT FILMU

Aktorka murzyńska robi karierę

Słynna Louise Beavers — Murzynka, która debiutowała obok Claudette Gilbert w obrazie p. t. „Imitacja Życia", zrobiła bardzo szybko wielką karierę filmową. Występując początkowo w małych rolach, okazała się aktorką tak doskonałą, że w filmie „Rainbow on the River", (Mały Czarodziej) w którym rolę główną gra nowa gwiazda — Bobby Breen, powierzono jej już jedną z głównych ról. Z zadania tego wywiązała się ponad wszelkie spodziewania. Postać Murzynki — wychowawczyni, kreowana przez nią, stała się prawie, że centralną postacią filmu. Lecz były to jedynie stopnie do kariery. Obecnie Sol Lesser, producent filmu „Mały Czarodziej" z Bobby Breenem, realizuje film p. t. „Siostra Jemina", w którym Louise Beavers grać będzie rolę główną. Scenariusz tego filmu oparty jest na znanej amerykańskiej powieści o słynnym w Ameryce murzyńskim cukierniku.



Jacy mili i pełni wdzięku, dobrze nam znani Fred i Ginger. Spójrzmy i porównajmy...



...co uczynić potrafiło z tej przemiłej pary krzywe zwierciadło karykaturzysty

Fot. R. K. O. Radio

Eddie Cantor w nowym filmie

Dawno niewidziany komik, ulubieniec publiczności, Eddie Cantor, ukończył obecnie nakręcanie nowego filmu dla wytwórni „20th Century - Fox" p. t. „Ali Baba i 40 rozbójników" (Alibaba goes to town). Ciekawa jest fabuła tego filmu. Otóż Eddie gra w nim rolę sprzedawcy środków przeciwko odciskom, który dzięki przypadkowi, dublując jakąś gwiazdę, zostaje aktorem filmowym. Film ten pokazuje nam w doskonałym satyrycznym świetle kulisy wielkich wytwórni Hollywoodu.

„Ali Baba i 40 Rozbójników" — to jedyny w tym roku film Eddie Cantora.

ŚWIAT FILMU

„Ostatni Mohikanin"

Światowid

Ciekawych wrażeń doznajemy spotykając na ekranie film, osnuty na tle książki znanej nam z młodzieńczych lat. Mamy z jednej strony możność skontrolowania odczuwań doznanych przy czytaniu, z wrażeniem wzrokowym ofiarowanym nam za pośrednictwem filmu. Mamy pewien probierz naszych zdolności obrazowania, skali naszej wyobraźni. Nie jest to jedyne wrażenie. Kontrolowanie zgodności scenariusza filmu z treścią znanej książki odrywa naszą uwagę od wartości artystycznych obrazu, zmuszając umysł do pracy porównawczej.

Stwarza to duże trudności dla reżysera i aktorów. Nawet dobrze zrobiony film, wiernie trzymający się treści powieści może wywołać u wrażliwszego widza mnóstwo zastrzeżeń: „jabym to zrobił inaczej", „to pownino być tak, a nie w ten sposób".

Dlatego miarą wartości obrazu nie mogą być poszczególne sceny, których oświetlenie może być niezgodne z naszym subiektywnym odczuwaniem, lecz całość filmu, pewna suma wrażeń artystycznych, którą wyniesiemy z kina po skończeniu seansu.

A zatem, abstrahując od pewnych subiektywnych wrażeń, wartością filmu nazwiemy całość przeżycia artystycznego.



Scena z filmu „Ostatni Mohikanin" na ekranie kina „Światowid"

W omawianym obrazie egzotyka walki z dzikim szczepem Huronów, awanturniczość i bohaterstwo, którymi entuzjazmowaliśmy się w dawnym dzieciństwie, oddana została z ogromną wiernością, plastyką i realizmem. Pewna naiwność sytuacyjna ginie w ogólnym zamęcie walki, stokrotnie wynagrodzona prawdziwą poetycznością prostej, prymitywnej natury zdobywców dzisiejszej Ameryki.

Gra aktorów żywa, bezpretensjonalna i prawdziwa wnosi urok świeżości i stwarza suggestywność obrazu. Interesujące podejście reżyserskie świetnie uplastycznia nastrój, a swoboda i rozmach akcji umiejętnie podkreślone realizmem wykonania stwarzają godną widzenia całość. Randolph Scott, Binnie Barnes i Henry Wilcoxon na czele doskonałego zespołu aktorskiego go podnieśli epopeę bohaterskich walk na wysoki poziom odtwórczy.

J.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. W. Łazarski, Dzierż. Spółdz. „SPÓJNIA", Żelazna 58a

P